(N. 2.)

# DZIENNIK WILEŃSKI

ROK 1826. LUTY.



*Dozwala się drukować. Dnia 16 lutego 1826 roku.*
*Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.*
*Andrzey Bucharski*
*Rzeczywisty Radca Stanu i Kawaler.*

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

## LITERATURA NADOBNA.

Kukułka Wróżka albo Historya mey młodości. Powieść wyjęta z dzieł Augusta *Lafontaine*, przez *A. N. K.* (*Dokończenie.*)

### Rozdział piąty. *Zabóystwo.*

Móy oyciec był wychowany u jednego z dalekich krewnych, nazwiskiem Mayera, który, będąc leśniczym, usposobił go do tegoż stanu. Okrótnie z nim się obchodził, przeto też oyciec móy, odzyskując wolność, wszelkie z nim zerwał związki. Jednak poznawszy jego syna, iż był biegłym w leśnictwie, mianował go leśniczym przyległego obrębu lasu, którego stan był naylichszy.

Pan Mayer, dowiedziawszy się, iż jego syn winien był swoje mieysce wstawieniu się mego oyca, napisał doń list pełen czułości; nie podobna było nie wzruszyć się wyrazami, jakiemi wynurzał swą wdzięczność; z tém wszystkiém móy oyciec odpowiedział mu z suchością i oziębłością, tak widoczną, iż matka, która się nigdy do niczego nie mieszała, nie mogła wytrzymać, aby mu tego nie wyrzuciła.

„Móy przyjacielu!" mówiła „pomniy, że *pomsta należy do Boga.*" „Uspokóy się, dobra kobieto, sumnienie moje nic mi nie wyrzuca: gotów jestem przyjąć karę boską na mą głowę, jeslim mu co złego wyrządził."

Móy oyciec nie myślał więcey o swym krewnym; od dwóch lat był zapomniany, kiedy mat-

ka, wszedłszy raz do izby, jak trup blada, opowiedziała: że tenże Mayer straszliwe popełniwszy zabóystwo, był poymany na uczynku, i w łańcuchach poprowadzony do miasta.

„Niech Bóg broni! zawołał oyciec; musi to bydź wieść fałszywa."

„Ach nie, serce! aż nadto prawdziwa; Pani Waldau opisała mi to z naymnieyszemi szczegółami: bo jey syn, sędzia, wezwany został na tę sprawę do trybunału."

„Jeśli tak jest, Boże! bądź miłościwszy nad tym człowiekiem, aniżeli jego na tey ziemi sędziowie."

Tu dopiéro kazał sobie opowiedzieć całą historyą.

Bogaty, lecz rozpustny młodzieniec, nazwiskiem Rohd, uchodzący w całym kantonie za zwodziciela, przysunął się do córki Pana Mayera, młodey osoby, którą nadzwyczay chwalono. Oyciec wypowiedział mu wstęp do swego domu: co on lekce ważył, chełpiąc się, iż otrzyma łaskawe córki względy, na złość oycu. Jakoż udało mu się kilka razy z nią rozmawiać; leśniczy oświadczył swóy gniew nayżywszy i nawet powiedział przy kilku osobach, iż jeśliby śmiał dłużey wałęsać się koło jego domu, strzeli doń, jak do psa szalonego.

Wkrótce cieśle znalezli Pana Mayera przy młodym Rohd, krwią zlanym, i w chwili skonania imie jego wymawiającym. Leśniczy doniósł im, że posłyszawszy wrzask, nadbiegł i obaczył człowieka uciekającego, a drugiego tarzającego się po murawie z jękiem; że w tym

ostatnim poznał młodego Rohd i naprózno usiłował go ratować.

Wezwano policyą i chirurgów, a P. Majerowi przydano straż w domu, dopóki nie poznano jego kordelasa, który służył za narzędzie zbrodni.

Na próżno brał niebo na świadectwo swey niewinności: okuli go w kaydany i wtrącili do więzienia.

„Oby Bóg raczył przebaczyć biédnemu oycu" zawołał móy, załamując ręce „gdybym miał córkę, a jakiś zuchwalec, nie dbając na moje upomnienia, odważył się ją bałamucić....... sam nie wiem, cobym zrobił? Nieszczęśliwy człowiek! nie słyszałem o nim przez dwa lata, aż teraz oto dowiaduję się o jego potępieniu! Jego córka, czy winna, czy nie, warta politowania. Żono! twoja nowina odjęła mi spokoyność na długo. Nasz Henryk, Bogu dzięki, nie jest złośliwy; inaczey nie mógłbym bydź o niego spokoynym, zdawałoby mi się, że widzę śmierć w ślad za nim. Idź! dobry młodzieńcze, już na cię czekają w lesie, wracay do swey pracy, i niech niebo czuwa nad tobą."

Wyszedłem z orszakiem znaczney części mych ludzi, którzy szli przodem niecierpliwie, a ja za nimi głęboko zamyślony; młody strzelec któregom nie zbyt dawno przyjął, wlókł się jeszcze opieszaley odemnie. Przypomniawszy wówczas, że służył u naszego krewnego, zawołałem:

„Ty znasz P. Mayera, Wilhelmie! i musiałeś znać także nieboszczyka Rohd?"

Nic mi na to nie odpowiedział, lecz zbladł

i tak drżéć począł, że plątał nogami. Dziwném mi się to wydało, wszelako nie miałem żadnego nań podeyrzenia.

„Twóy dawny pan zabił Rohda, rzekłem.”

„To nie prawda” odpowiedział pocichu i słaniając się.

„Mówię ci, że go zabił własnym swym kordelasem.”

Zbladł jeszcze bardziey, a jabym może co złego pomyślał, gdyby ten człowiek od sześciu miesięcy, jak służył u mnie, nie zjednał mey przyjaźni, słodkim i spokoynym charakterem, połączonym z melancholią, która go bardzo interessującym czyniła.

Szedłem daley, a on, milcząc koło mnie; wreszcie w te się odezwał słowa:

„Jednak móy dawny pan, nie będzie karany.”

„Karany? nieszczęście to przypłaci życiem.”

„Ach Panie! to naylepszy człowiek w świecie! a familia! anielska; nie, zapewne, nic mu złego nie wyrządzą.”

„Możesz bydź pewnym, że go potępią na śmierć.”

„Nie, nie” zawołał ze łkaniem „bo ja wiem, kto zabił Rohda; nikt o tém nie wie, Bóg tylko i ja.”

„Wiész o tém, Wilhelmie! wiész! a dozwalasz, aby zacny człowiek jęczał w okowach, a jego familia ginęła z rozpaczy? pamiętay, co mówisz!”

Westchnął głęboko, zimna jego ręka, chwyciła moję i rzekł:

„Chodź ze mną do miasta; wyznam wszystko, tak wszystko . . ., lecz miey mię na oku, bo

.... tego ranku miałem już uciec, nigdyby mię nie uyrzano..... Anioł pański wstrzymał mię, muszę więc wybawić szanownego człowieka."

Zawołałem drugiego strzelca, kazałem powiedzieć moim rodzicom, że Wilhelm ze mną oddala się na dni kilka, i przejęty trwogą, jakby mię całe ścigało piekło, puściłem się z nim do miasta.

Stanęliśmy tam nazajutrz zrana; napróżno nalegałem na Wilhelma, aby mi powiedział, czego był świadomy; nic na nim wymódz nie byłem w stanie. Kazałem o sobie oznaymić prezydentowi sądowey izby; czekaliśmy w przedpokoju i mieliśmy już przestępować próg pokoju, do którego nas wprowadzano, kiedy, porwawszy mię za rękę i opierając głowę na mych barkach, rzekł cichym głosem:

„Jestem zabóycą."

Na te słowa, śmiertelny dreszcz mię przejął; wciągnął mię do pokoju, w którym był prezydent; stanęliśmy przed nim wybladli i nieruchomi, jak dwa posągi.

W tém odezwał się Wilhelm:

„Leśniczy Mayer jest niewinny; ja to zabiłem bezecnego Rohd!"

Padłem chwiejąc się na sofę; prezydent cofnął się z zadziwieniem; zapytywał mię, gdy tymczasem trudno mi było zebrać dosyć głosu na odpowiedź; jednak przychodząc do siebie stopniami, to przydałem:

„Nie mogę bydź pewnym, aby ten nieszczęśliwy mówił prawdę; od sześciu miesięcy, jak u mnie służy, widziałem go zawsze spokoynym i

dobrym, lecz posępnym i niejako przykrzącym sobie życie."

Biédny móy Wilhelm, zwrócił na mnie wdzięczne oko.

„Tak, rzecze, byłem uczciwym i pobożnym, mogę powiedzieć; zapytaycie dawnego mego pana: czy miał kiedy jaką do mnie urázę; wszelako jestem zabóycą Rohda, czego natychmiast dowiodę."

Prezydent kazał wezwać sekretarza i kilku sędziów. Wilhelm zaczął długą rzecz, którą często łkaniami przerywał, a którey treść następna:

Kochał serdecznie młodą sierotę i był nawzajem kochany; czekali, nim się pobiorą, ona na spadek po ciotce, którey doglądała w starości; on zaś na przyobiecany mu obowiązek strażnika kniei; widywali się co niedziela i tańczyli z sobą co święto. Rohd zoczywszy młodą tę osobę, chodził w ślad za nią, żaliła się na to przed kochankiem, który go spotkawszy raz w lesie, odważył się zaczepić.

„Panie Rohd, powiedział doń, chcesz uwieśdź moję kochankę; możeby ci się udało, bo kobiéty są słabe, a ja nié mam czasu ustawicznie cię szpiegować, lecz jeśli to nastąpi, możesz robić testament i ja także: bo jeden z nas będzie musiał pożegnać się z tym światem."

Rohd rozśmiał się na te słowa.

Tymczasem Wilhelm zmuszony był udać się z leśniczym w drogę; po powrócie, kiedy czyścił broń swego pana z jednym ze swych towarzyszów, dowiedział się od niego, że Rohd chlubił się z odniesionego tryumfu, nad jego kochan-

ką. Nieszczęśliwy, czyścił w ówczas właśnie fatalny kordelas; chowa go zatém i, pełen wściekłości, leci do swey oblubienicy, którą znayduje w rozpaczy; zwierza się ona przed nim, iż niepoczciwy Rohd użył przeciwko niey, nie zwodnictwa, lecz przemocy.

Boleść tey nieszczęsney, zapala coraz bardziey w jego łonie chęć pomszczenia się.

„Nie opuszczę cię” rzecze „przyrzekłem twemu oycu przy śmierci, lecz wydrę życie naszemu wrogowi.”

Kochanka nie przestawała mu wystawiać złych skutków zabóystwa; rzuca się mu do nóg, i wymaga nakoniec obietnicę, zaniechania tego zbrodniczego postanowienia.

„Chcesz tego” powiedział „dobrze! będzie on żył, ale ja muszę się z tych stron oddalić; nie mógłbym spotkawszy go bydź panem siebie.”

Dziękuje więc za służbę i przystaje do mnie. Jego przyjaciółka zachorowała ze zgryzoty; poszedł ją odwiedzić; lekarz oświadcza mu, iż jey choroba jest nieuleczoną, że troska sama skróci jey życie. Dowiaduje się razem, iż Rohd, zwrócił swe widoki ku córce dawnego pana. Strapiony temi dwiema nowinami, smutny Wilhelm powraca do mnie przez las i spotyka się ze swym rywalem.

„Jak się ma twoja żona, Wilhelmie?” zapyta go rozpustnik tonem szydzącym.

„Kłania się tobie,” krzyknie Wilhelm, utapiając kordelas w jego piersiach.

Powraca do swey umierającey kochanki, oznaymuje jey, że się pomścił, czeka nadeyścia nocy i powraca do nas pociemku.

Takie było opowiadanie tego nieszczęśliwego: lecz trzeba słyszeć z ust jego, proste wyrażenia gorzkich uczuć, aby sądzić o skutku, jaki na nas sprawiły.

„Biedny młodzieńcze! rzekł prezydent ze łzami w oczach, nie mogę sobie pozwolić, abym cię nie okuł w kaydany."

Wydał więc rozkaz, wszedł do gabinetu i wnet powrócił.

„Niech zdeymą z P. Mayera więzy, niech mu tylko straż postawią w domu i uwiadomią familią."

W chwili, kiedy to mówił, brzęk łańcuchów, przeznaczonych na nieszczęśliwego Wilhelma słyszeć się dał za nami; zadrżał i wzniósł do nieba oczy, których wyraz odeymował całą surowość jego urzędowi. Kazał przygotować swóy pojazd.

„Muszę sam donieść xięciu o wszystkiém: bo ten człowiek strasznie był dotkniony; miey nadzieję, móy synu! rzekł doń tkliwie i oddalił się."

Uściskałem płacząc mojego Wilhelma.

„Ach! dobry panie! idź sam pociesz żonę i dzieci P. Mayera; one muszą bydź nieutulone, nie wiedzą, ile ich łzy są doymujące."

Uścisnąłem go raz jeszcze przed odeyściem.

Siadam na koń, pędzę przez sześć godzin bez wytchnienia; przybywam i wpadam do domu krzycząc:

„Pan leśniczy jest uwolniony! zbóyca się znalazł!"

Natychmiast matka i dzieci wieszają mi się

na szyi, wydając raz krzyk radości, to znowu łkania, boleśnem wzbudzone niedowierzaniem.

Nie mogli wierzyć tey nagłey zmianie. Opowiadam im rzecz całą pokrótce, wierzą nareszcie mym słowom, i cały dom rozlega się naytkliwszemi wykrzyknieniami.

Byłem zachwycony, lecz głodny. Już po szóstey w wieczór, a jeszczem ani pił, ani jadł, przeleciawszy sześć mil bez obeyrzenia się.

Radość zawróciła wszystkim głowy; nikt na mnie nie spóyrzał; wszelako natrętnością wymogłem, iż mi podano butelkę wina, kawałek ciasta i faykę.

Musiałem sam póyśdź opatrzyć konia, a w tym czasie usłyszałem matkę:

„Kto to jest ten jegomość, Ernestyno?"

„Jest to stary leśniczy z Eszenloch."

„Stary leśniczy" odezwie się syn, „móy Boże, nie, to młody człowiek."

Kiedym powrócił, wszyscy znikli; rozbiegli się po wiosce, snać, aby donieść przyjaciołom o tey szczęśliwey nowinie.

Młoda osoba weszła naypierwiey, prosiłem jey, aby mi kazała dać co do picia.

„Przebacz" odpowie „natychmiast ci podadzą, lecz ja nie mam chwili do stracenia, musimy jechać do miasta, drogi móy oyciec uniewinniony."

Tak mówiąc przygotowywała bieliznę i suknie dla tego lubego oyca; a kiedy wsiadano do powozu, zapytała:

„Gdzież jest Pan leśniczy z Eszenloch?"

„Pije teraz szklankę wody, bo nie ma piwa, a miasto wina podano mu octu."

Ciągle jey tkwił w głowie stary leśniczy, cofnęła się o dwa kroki, kiedy mnie uyrzała.

„Daruy Panie" rzecze, lekko się skłoniwszy, „nie wiemy, gdzie jesteśmy; móy oyciec jest uwolniony, uniewinniony, spieszymy, aby go uyrzeć."

Zawołano Ernestyny; jam nie miał ani piwa, ani wina; a co mię do reszty rozgniewało, toto, że nikt nie chciał się litować nad tkliwą szlachetnością i niedolą mojego Wilhelma.

Ofiarowano mi atoli mieysce w powozie; móy koń, nie będąc w stanie odbywać powtórney drogi bez odpoczynku, miał mi bydź odprowadzony nazajutrz; ruszyliśmy z nadeyściem nocy.

## Rozdział szósty. *Więzień wrócony rodzinie.*

Uspokojono się nieco w czasie drogi; a matka zapytała mię:

„Jakżeś się dowiedział Panie Leśniczy, że mego męża uwolniono?"

„To nie jest Pan Leśniczy, mamo!" rzekła młoda osoba.

Postrzegłem, że w uniesieniu, nie uważały i słowa, com do nich mówił, rozpocząłem więc nanowo z naywiększemi szczegółami historyą, i teraz byłem słuchany. Kiedy się dowiedziały o wpływie, jaki miałem na ten wypadek, ledwom mógł je wstrzymać od rzucenia mi się do nóg, a rozmowa przez całą noc tak była ożywiona, iź sen ani dotknął naszych powiek.

Byliśmy pod miastem, kiedy słońce wscho-

dzić poczynało; pierwsze jego promienie oświeciły twarz Ernestyny, ścisnęła mi rękę z czarującym uśmiechem, i rzekła:

„Raduję się z duszy, że nakoniec mogę mu się przypatrzyć; całą noc byłam zajęta wystawieniem sobie jego rysów i pytałam w duchu: czy przyymie też on naszę wdzięczność tak, jak jego oyciec, co to ma serce razem i tak szlachetne i tak zimne? Ach! teraz o Panu nie zapomnę jak wczora, w upojeniu radości.”

Opowiedziała z uśmiechem, jak mi podała octu zamiast wina.

Gdy to mówiła, wpatrywałem się ze szczególną roskoszą w jey zaymującą i żywą fizyognomią; im bardziey się jey przyglądałem, tém więcey mi się zdawało dostrzegać jakieś podobieństwo z moją Felicyą. Głowa wprawdzie jedney uwieńczona była drobnemi pukielkami jasnemi, drugiey długiemi pierścieniami włosów ciemnych; nie było żadney zgody z rysami szczupłemi ładney owey dziewczynki, a greckim profilem piękney Ernestyny; nie więcey też było podobieństwa w głosie; lecz jey uśmiéch sprowadzał na jagody dwa dołeczki, podobne do owych, których pamięć w mem sercu została.

Kazałem się zatrzymać przy bramie miasta, chcąc się dowiedzieć u prezydenta o mieyscu pobytu więźnia; panienka prosiła matki, aby jey pozwoliła póyśdź ze mną, uyrzeć chwilą wprzódy oyca, i przygotować do szczęścia oglądania żony; zezwoliła na to, zostawując przy sobie syna.

Ernestyna podała mi rękę, i tak razem przebiegaliśmy puste ulice.

„Wszyscy spią” rzekła patrząc na zamknię-

te kramy „ja tylko czuwam dla szczęścia; kochany móy oyciec może czuwa także....... Zdaje mi się, że nie mogłabym kosztować teraz snu słodyczy, byłby on zawsze mieszany tą myślą, że gdzieś na ziemi, oyciec leży w kaydanach! ta myśl trwogą mię przeymuje! Ach! jakże zasnąć, gdy na myśli tysiące westchnień, wydawanych podczas długich nocy utrapienia!"

„Jak możesz oddawać się tak smutnym myślom?"

„Wielki Boże! czyż możesz czynić to pytanie córce, której oyciec przez dni ośm, jako zbóyca był więziony! ach! my wiemy, co to jest boleść bez nadziei, a noc bez spoczynku!"

Dowiedzieliśmy się od prezydenta, że Pan Mayer był wolny, i znaydował się w oberży, ktorą nam pokazano. Pobiegliśmy tam; wzruszenie Ernestyny co krok się powiększało, drżała i ledwo oddychać mogła; nareszcie stanęliśmy na mieyscu.

Stukam, otwierają, wprowadzają nas do stancyi P. Leśniczego; córka otwiéra drzwi pocichu, był on na ówczas w dobroczynnym i głębokim śnie pogrążony.

„Idź przyprowadź moję matkę" rzekła do mnie, potém podeszła na palcach, padła przy łóżku, i, tłumiąc łkania, całowała pukiel siwych włosow, spadający mu na skronie: wkrótce podnosząc się z przestrachem, zawołała głosem na pół stłumionym, lecz przenikającym:

„Boże! Wielki Boże! włosy jego pobielały, były przedtém czarne; o móy oycze! móy oycze!"

Błagałem ją, aby się uspokoiła i dozwoliła mi go obudzić; pomieszanie jey było takie, że

zdawała się nie poznawać mię i nie słyszeć. Nareszcie dała się nakłonić, wcisnęła się za łóżko, i skryła się w połowie za firanki.

Uczyniłem szelest, otworzył oczy. „Panie Leśniczy, rzekłem, przynoszę ci dobrą nowinę, twoja familia......"

„Gdzież ona?" zawołał, wyciągając ręce.

Córka rzuciła się w jego objęcia.

„Czy to ty moje dziecie? czy to ja ciebie oglądam? może to sen luby? odezwiy się moja córko! gdzie twoja matka? czemu jey tu nié ma? Boże! domyślam się ona musi bydź......"

„O sto kroków od ciebie, Panie, lecę po nią."

Biegnę co tchu na to mieysce, gdzieśmy ją zostawili: „w dobrém jest zdrowiu, czeka na cię, rzekłem wskoczywszy do powozu. Naglę woźnicę, przyjeżdżamy; wiodę do pokoju Pana Mayera jego żonę i radośnego syna; potém oddalam się i naprzekor mojemu żywemu wzruszeniu każę dać butelkę wina i chłodne pieczyste, które, nie wyszedłszy z mojego rozczulenia, zjadam z nieumiarkowanym apetytem.

Młody Mayer przyszedł po mnie, posłany od oyca, który mi ścisnął rękę, mianując swym wybawcą.

Dowiedziałem się wówczas, że po wszystkich śledzeniach sądowych, pokazało się rzetelném wyznanie Wilhelma. Oblubienica jego była stawiona, a jey świadectwo zgadzało się zupełnie ze słowami kochanka. Lekarz nawet, mający ją w swey pieczy, potwierdził zeznanie. Tym sposobem po wyświeceniu niewinności P. Mayera, przywrócono mu wolność. Prezydent oddając mu ją, oświadczył, iż mnie był wszyst-

ko winien. Wilhelm wyznał, iż miał zamiar odjąć sobie życie tegoż dnia kiedym go badał, i że moje zaklinania, aby nie zostawiał uczciwego człowieka w kaydanach, a familii w rozpaczy, skłoniły go tylko do oddania się w ręce sprawiedliwości.

„O nieba!" zawoła Ernestyna, rzucając się mi na szyję, „wczoray, widziałam tylko w tobie posłańca anioła, dziś jesteś samym aniołem wybawicielęm! a tyś nam o tém nie wspomniał!"

Przechodziłem z uściśnień jednych w drugie; starałem się przywieśdź ich do przyznania sumienia mojemu Wilhelmowi.

„Ach! to sumienie było nieco spoźnione!" rzekła Pani Mayer „gdyby nie ty, zgubiłby mojego męża."

„Zwalał swóy występek na głowę mojego oyca!" zawołała Ernestyna."

„A Bóg wié, czy nie miał tego w myśli, używszy do zbrodni jego kordelasa" przydał młodzieniec odwracając się ze wzdrygnieniem.

Pan Mayer naglił do powrótu; nie bardzo mi było z drogi, jadąc do domu wstąpić do nich, przyrzekłem więc towarzyszyć.

Poszedłem odwiedzić mojego Wilhelma, za dozwoleniem prezydenta, który mię zapewnił, że jego życie może bydź ocalone: wszystko bowiem dowodziło, iż popełnił to morderstwo w naysprawiedliwszym gniewie, rozjątrzony napotkaniem Rohda i jego przekąsami.

Przed wyjazdem, napisałem do oyca, donosząc o tém interessującém go zdarzeniu, i uspakajając względem mojey niebytności.

Pan Mayer, zbliżając się do domu, oświad-

czył chęć wysiąśdź z powozu. Poszliśmy za jego przykładem i weszliśmy w ulicę z młodych orzechów włoskich, które własną zasadził ręką.

„Toż ja was oglądam, lube drzewa!” zawołał skrapiając łzami policzki; dotykał się ich pni, jak gdyby obdarzone były duszą i uczuciem na jego ocalenie tkliwém. Zatrzymał się przed domem; pies dziedzińcowy cisnął się ku niemu, ile łańcuch mógł się rozciągnąć, z wyrazem radości i pieszczoty. Szepnął coś do syna, poglądając ze wzruszeniem na to źwierzę; młodzieniec spuścił go natychmiast z kagańca, a oyciec rzekł wyciągając ręce:

„Nie, odtąd nigdy, nigdy łańcuchy!”

To jedno, jużby pociągnęło ku niemu. Kiedy wszedł do domu, czeladź pozdrowiła go radośnym okrzykiem; uważano, że jego radość coraz się boleśnieyszą stawała, w miarę głębszego doznawania; zwiesił swą osiwiałą głowę na piersi małżonki, wyciągnął ręce ku domownikom, nie mogąc ani patrzyć, ani się odezwać. Nakoniec, wszedłszy do izby, rzucił się osłabiony na kanapę, potém, wyciągając ręce, aby nas uścisnąć, zawołał:

„Odzyskałem więc wszystko, co mię przywiązywało do życia! O dolo nadspodziewana!” Łzy czułości i wesela płynęły mu z oczu.

Wieczorem powiedział do córki, pokazując na fortepian znaydujący się w pokoju:

„Moje dziecię, uszy me do straszliwey przywykły muzyki, to jest: do szczęku kaydan i trzasku ryglów; day mi co prędzey słodszą posłyszeć.”

Otworzyła instrument i usiadła „móy oycze! rzecze, cobym mogła grać, albo śpiewać teraz!"

„Nie wątpię o tém, moje dziecię, lecz pokażę ci zaraz; masz, śpiéway mi te wiersze."

Wtedy, otworzywszy Psalmy, podał jey. Zagrała poważną i prostą melodyą, i zaczęła śpiéwać głosem czystym, lecz głęboko przenikniona, następne wiersze:

„Dzielna twa dłoń z nad mojey głowy śmierć odparła,
„Podźwignęła mą słabość, łzy moje otarła;
„W jedney chwili uyrzałem losu mego zmianę:
„Za co cię, Wielki Boże! wielbić nie przestanę."

Oyciec wyszedł do drugiego pokoju; nastąpiło między nami religiyne milczenie, które pięknem *adagio* przedłużyła Ernestyna.

## Rozdział siódmy. *Złamana przysięga.*

Przysięgałem po sto razy, że żadna kobiéta nie poruszy mojego serca, prócz jedney nie odzyskaney Felicyi; tym czasem głos tey młodey osoby wnosił do duszy mojey ciągły niepokoy.

Wśród rozczulenia powszechnego które szczerze dzieliłem, nie mogłem się wstrzymać od pomyślenia nad wdziękiem jakiby miała w jey ustach czuła i namiętna piosnka miłośna; możebym i odważył był się prosić o nią, gdyby jey piękne niebieskie oczy nie były łzami zroszone.

Wyszedłem do ogrodu, abym dozwolił brzmieć swobodnie w mey duszy dzwiękowi tego lubego głosu. Cichość wieczorna sprzyja zarówno i zadumaniu i rozwadze; oddawszy się pierwszemu, wezwałem drugiey na pomoc: lecz bynaymniey mię nie uspokoiła.

„Ach!” mówiłem do siebie „ta czułość córki, to tak uczuć pełne serce, te cnoty domowe, zapewniają mię, iż byłaby dobrą żoną.....”

Tak mówiąc, myślałem coraz bardziey o składn y i lekkiey kibici, o czarującym wyrazie twarzy, o słowiczym głosie, któregom czarodzieyskiego doświadczył skutku; i gdyby nie ów nieszczęsny pierścionek.....

Po pewném wahaniu się, zdjąłem z palca cyfrę wielkiego Fryderyka, cyfrę mojey nieznajomey oblubienicy, schowałem go, aby już więcey nie widzieć i zawołałem nieco zawstydzony.

„Słusznie utrzymuje móy oyciec, że to jest nierozsądkiem uważać fraszkę jakąś za rzecz tak godną wiary.”

Wszystkie moje przysięgi zostały złamane: powróciłem do mieszkania z postanowieniem uchwycenia pierwszey zręczności do odkrycia przed Ernestyną, albo jey oycem, nowych moich uczuć.

Rozrzewnienie i melancholija tey szczęśliwey familii, coraz inną przybierając postać, zamieniły się wkrótce w wesele i radość. Wszyscy w domu obchodzili się ze mną poufale i po przyjacielsku, jak gdybym nie był obcym. Nie chciano zgoła przypisać Wilhelmowi ocalenia Pana Mayera: na mnie więc spływała całkowita za to wdzięczność.

Leśniczy wypytywał mię o oycu; żona i córka wybadywały o szczegółach naszego sposobu życia; ja zaspakajałem ich pytania: i z nayżywszą słuchano mię ciekawością.

Alboż wam nie powtarzałem zawsze” odezwie się oyciec „iż on jest, wbrew swego listu,

nieoszacowanym człowiekiem? jemu los móy jestem winien! syn jego ocalił mi życie! ach! czemuż nie mogę nawzajem czegoś wyświadczyć ..... uczynić wiele dla nich!"

Rzuciłem na Ernestynę okiem, wyrażającém bez wątpienia życzenia mojego serca; zarumieniła się, a jam doświadczył naymocnieyszego bicia. Chwyciłem za rękę oyca z uniesieniem, które mię samego zdziwiło, podniosła się rumieniąc coraz bardziey, nie wątpiłem zatém, że musiała się domyśleć, co miałem wyrzec.

„Ach! będę was może kiedyś prosił o wielką dla siebie łaskę!"

Zrozumiano mię; wszystkich oczy zwróciły się na Ernestynę : a odwaga we mnie się zwiększyła.

„Zdaje się, że przewidujesz moję prośbę, drogi, szanowny oycze!"

Patrzał na mnie zasępiony, podniosł nieznacznie ramiona, i nic nie odpowiedział.

„Rozumiém" zawołałem, spuszczając wdół oczy, „nie możecie mi tego wyświadczyć!"

„Z mych ust nie lękay się odmówienia, dobry młodzieńcze! lecz moja córka jest zamówioną, albo przynaymniey tak jey się zdaje."

Zasłoniłem rękami twarz moję, smutkiem zmienioną, a Pan Mayer, podniosłszy się, przystąpił do Ernestyny!

„Moje dziecie!" rzekł „jak to jest słodko czuć wdzięczność! Wybawienie twojego oyca czyliż nie jest głosem niebieskim, wyraźnieyszym i świętszym nad twóy cud mniemany?"

Zbladła i odpowiedziała głosem drżącym: „Oycze! łamię przyrzeczenie, jeśli moja ręka,

serce, mogą nagrodzić tego szlachetnego człowieka......"

Rzuciła się na łono matki i podała mi rękę.

„Nie! nie! broń mię niebo, abym miał rozłączać dwa kochające się serca, abym miał przyymować szluby z powinności; ach! raczey cię nigdy w życiu nie oglądać!"

To mówiąc ruszyłem się, chcąc niby się oddalić.

„Wyydź z błędu" odezwie się matka „nie rozłączasz wcale kochających się serc; córka moja jest zaślubioną nie mając małżonka: wydzierasz jey tylko obraz przywidziany, marzenie dziecinne. W dwunastym roku była ona w Szalden z kilką towarzyszkami, kukułka...."

„O moja Felicyo!" zawołałem w niewypowiedzianem zachwyceniu „miałażbyś to bydź ty? miałżebym cię odzyskać? Lecz imie Ernestyny niszczy mi tę nadzieję......"

„To on, móy oycze, to on sam! ach! jeśli moje oczy się omyliły, to przynaymniey serce nigdy!"

„Felicyo! Ernestyno! jakże cię mam nazwać? czy poznajesz tę obrączkę, którąm starannie aż do dnia wczorayszego nosił? Zerwałem tylko dla tego moją pierwszą przysięgę, ażebym cię powtórnie, czuley, jak wprzody, ukochał, a dwie te miłości, połączone w jednę, dopóty trwać będą, póki me życie."

„Tak, móy kochanku, los nas przeznaczył jedno dla drugiego; teraz wdzięczność mego oyca, twóy wybór i móy, wzmacniają bardziey te słodkie węzły."

Padłem przed nią na kolana, wyciągnąłem ręce, i uczułem ją na mém sercu.

Starałem się dowiedzieć, dla czego zmieniła imie; powiedziała mi, że zawsze była Ernestyną; Felicya było imie jedney z panienek, będących z nią razem w Szalden; pierścionek którym od niey uchwycił, nosił cyfrę tey przyjaciółki, i był upominkiem jey przywiązania. Przypomniałem sobie, iż się nie odezwała, kiedy wołano Felicyi, i pomiarkowałem, iż naturalniey było nosić cyfrę czyjąś inną, jak swoję; lecz to imie tak mi się stało drogiem, że nie przestawałem jéy niem mianować raczey, jak własném. W mojém upojeniu, powtarzałem je po tysiąckroć, raz po raz moja Ernestyna, sledziła okiem na mey twarzy rysów, które jey pamięć dochowała, wynaydowała je pomimo zmiany, jaką sześć lat sprawiły, i zapewniała, iż byłaby mię poznała, gdyby była mniey zajętą odzyskaniem oyca.

Kiedyśmy się oddawali naysłodszym wylaniom, Pan Mayer potrząsał głową w zamyśleniu.

„Co ci to moja duszo? zapyta żona" czyż ty nie jesteś, tak jak my, u szczytu szczęścia?"

„Trzebaż, aby smieszna bayka zamieniła się w istotę tak prawdziwą, tak nadzwyczayną? Dla czegoż nie miałbym wierzyć w wieszcze gołębie dodońskie, kiedy mam wierzyć wróżbie kukułki?

„Kukułka nie była tak wielką wróżką, jak moja Ernestyna mniemała" rzekłem śmiejąc się, nie dziw się oycze! ja to grałem jey rolę.

Opowiedziałem całą historyą: Pan Mayer

słuchając jey poglądał na córkę z miną żartobliwą, co ją w zawstydzenie wprawiło.

„Móy oycze! zawołała nakoniec, przestań żartować ze mnie, wszystko to tak szczęśliwie się skończyło!"

„To dobrze, moja córko! ależ wszystko to skończyć się mogło i naygorzey."

„Ufność ta była bardzo naturalna i niewinna" rzecze matka.

„Z tém wszystkiém zawsze to była ufność przesądna, moja żono! rozum i sumnienie są to jedyne głosy niebieskie, których człowiek słuchać powinien. Alboż to dziéwcze, nie było blizkie odmówienia temu zacnemu młodzieńcowi? jakiś swawolnik, czyliżby nie mógł zagrać podobney komedyi, i pokazawszy się z obrączką na palcu, nie mogłżeby jey oszukać?

„Ja sam jeden temu winienem, móy oycze" odezwałem się, „jakkolwiekbądź zdaje się, że łańcuch tajemny wiązał wszystkie wypadki, które nas skojarzyły; czyliż już cud mniey waży, skoro był owocem igraszki!"

„Prawdziwy cud, moje dzieci, jest w tém, żeście tak stworzeni zupełnie jedno dla drugiego" rzekł, łącząc rękę córki z moją; i o nic więcey już nieba nie proszę, jak tylko o błogosławieństwo dla was!"

Poleciałem do moich rodziców z tą pomyślną nowiną, przejęła ona ich radością; szczęście moje codziennie wzrastało. Jakże tu opisać to, com doświadczał po raz pierwszy, kiedy moja narzeczona przybyła z rodzicami do nas w odwiedziny? jak mam odmalować moją dobrą matkę, która nie wiedziała, czy ma składać cześć

tey pięknej i ustrojoney damie, czy też oddać się uczuciom macierzyńskim? Albo tych dwóch starców, którzy, zapominając o wszystkiém, dają sobie dłonie, poglądają na siebie, zamieniają serca, i padają w zobopólne objęcia? Jak tu wyrazić tkliwego mojego oyca słowa, wyciskające łzy z oczu mojey młodey małżonki, albo jego łzy własne, widząc ją tak piękną?

Przypatrywał się jey przez dni cztéry, przez które bawiła u nas, z przenikliwém myśliwca okiem; tysiąc jey zadawał pytań, i coraz więcey nią się zachwycał.

W miarę, jak coraz jego ukontentowanie wzmagało się, posyłał mię do piwnicy, po nayst arsze wino. Trzeciego dnia kazał sobie podać trzy sznurki perełek, dziedzictwo po swey matce, i sam zawiesił na szyi mojey kochanki; nakoniec, czwartego dnia, upojony mojém i własném szczęściem, zawołał:

„Pociecho mojey starości! bądź panią mojego domu! i kazał natychmiast ułożyć zapis, w którym czynił nas odtąd dziedzicami całego swego majątku.

O nieba! jakże byłem szczęśliwy!

Moja Ernestyna ujęła serce mey matki innym sposobem, to jest: swą czułością ku mnie; kochała ona ją, w miarę tego szczęścia, jakie zlewała na moje życie.

Rzecz szła o naznaczenie czasu naszego wesela; matka moja wymagała sześciu miesięcy na zrobienie przygotowań: nie mogła albowiem prędzey ukończyć mey wyprawy i postawić dóm na nowey stopie.

„Bóg wié, czy ja tak długo dożyję,” mówił móy oyciec, potrząsając głową.

Następney niedzieli, ogłoszono nasze zapowiedzi, z wielkiém zgorszeniem mey matki.

„Co to są ci mężczyzni!” mówiła „oni się na tych rzeczach nie znają: im trzeba, aby wszystko, jak się zamarzy, natychmiast było.”

Próżno wszakże rozprawiała, szlub wkrótce nastąpił.

Obchodziliśmy wesele w zameczku; lecz nazajutrz powróciliśmy do małego w lesie domku starodziców. Moja Ernestyna była aniołem ich starości, a roskoszą mojego życia.

Zgrzybiały móy oyciec, żył jeszcze tak długo, że mógł pobłogosławić dwoje moich dzieci. Matka zaś oglądała jeszcze trzecie i skonała na naszych rękach, tak jak ten, którego opłakiwała. Kiedyśmy jey towarzyszyli do ostatniego siedliska, Ernestyna rzekła do mnie głosem naytkliwszym:

„Henryku! nigdy tego nie zapomnę, że oni oboje ciebie tak kochali, a może jeszcze czuley, niżeli ja!”

Uściskaliśmy się płacząc, i poprzysięgliśmy bydź dobrymi i wiernymi, jak oni byli.

„A cóż dotrzymałem słowa?” zapytałem mey żony właśnie, kiedym to, co wyżey, napisał. Odpowiedziała mi ściśnieniem ręki i uśmiéchem.

„Czułość, jakiey teraz jedno dla drugiego doświadczamy, luba Ernestyno, nie jest już upajającą miłością młodości; lecz ta ufność nieposzlakowana, ta ścisła zgoda, która przewodniczy naszemu związkowi, jest słodką tamtey wyręczycielką. Tak jest, prawdziwa miłość krasi je-

szcze siwe włosy swojemi błogiemi wieńcami! W młodości, serce rozkochane widzi ray w perspektywie, lecz w starości, podobnie do głowy Janusa, pogląda z tyłu na ray spełnionych życzeń, a z przodu na ray nieśmiertelnych nadziei. Noszę jeszcze twą malutką matową obrączkę; kiedy umrę, ręka któregokolwiek mego dziecka, położy ją na mém sercu, które nie przestanie cię kochać, tylko wtedy, kiedy bić przestanie.

---

## Wiesław i Halina. (*Ballada.*)

»Już mars groźny, krwie syty, opuścił plac boju,
»Strudzon zwycięztwy żołnierz, skroń otarł ze znoju;
»Już woyna, co łez rzewnych kosztowała tyle!
»Przygasła, i swobody powróciły chwile.
»Każdy śpieszy oglądać swe oyczyste progi,
»Chce powitać rodzinę, i domowe bogi,
»I w tkliwych uściśnieniach żony, matki, brata,
»Nagrodzić zdala od nich przepędzone lata.
»Mieysce trwogi, powszechne zajęły okrzyki:
»Witaycie nam! witaycie! mężne wojowniki!
»Każdy się w tym dniu szczęścia raduje, weseli,
»Sama tylko Halina tych wzruszeń nie dzieli!
»Ja tylko sama płaczę! tak, ja tylko jedna!
»Jam tylko nieszczęśliwa, opuszczona, biedna!
»Próżno zwiedzam szeregi od samego ranka;
»Nigdzie znaleśdź nie mogę drogiego kochanka!
»A gdy wzrok móy nieśmiały towarzyszów bada,
»Łzą tylko i westchnieniem każdy odpowiada!

»Darmo do nich stroskaney woła głos Haliny:
»Jeśli wam miłe świeżo zdobyte wawrzyny,
»Ach! uymiycie śmiertelney sercu memu trwogi,
„Powiedźcie, gdzie jest Wiesław? gdzie móy Wiesław drogi?
»Milczą: pewno już poległ za oyczyzny sprawę”. . . ! ! !
To rzekła, i zemdlona pada na murawę.
Nie prędko wzrok otworzy; lecz jakież zjawienie?
Przy świetle, które siały xiężyca promienie,
Postrzega w koło siebie wzniesione pomniki;
W bramie napis — »tu leżą mężne wojowniki.”
Drżąca i pełna trwogi, wchodzi między groby,
Które ocienia cyprys, znamiono żałoby:
Sledzi każdy z osobna, każdy napis czyta....;
Lecz ta ziemia tysiącem grobowców okryta,
Te napisy co znaczą poległych zgon chlubny,
O! jakże dla jey serca cios gotują zgubny!......
Już czuynego koguta przeraźliwe pienie
Zapowiadało blizkie natury ocknienie;
Już świtać poczynało, a kroki Haliny
Jeszcze błądziły w pośrzód umarłych krainy.
Już obiegłszy napróżno cały cmentarz w koło
Pełna słodkiey otuchy, wracała wesoło;
Już pominęła groby, już była wrót blizko,
Już, już, miała opuścić to śmierci siedlisko;
W tém, jakby z łona ziemi wylęgłe westchnienie,
Ponure tych mieysc smutnych przerwało milczenie.
Tak niespodzianym trafem zdziwiona Halina,
Zatrzymuje się, miesza i trwożyć poczyna.
Waha się co ma czynić, czy pozostać dłuży,
Czy uciekać, dopokąd siła jeszcze służy;
W tém powtórne westchnienie ucho jey uderza;
Nieznaną jakąś mocą pociągniona, zmierza

W tę stronę, zkąd się jęki dwakroć słyszeć dały;
Przybliża się, i widzi jakiś przedmiot biały,
W kształcie młodey niewiasty, z rozpuszczonym włosem:
Wsparty na grobie, śmierci słabym wzywał głosem!
»Mężu! (wciąż powtarzała ta postać grobowa),
»Mężu! tyś zginął, a ja żyję twoja wdowa!
»Natożeście mię nieba dały mu w zamęzcie,
»Bym dziś opłakiwała, to zbyt krótkie szczęście!
»Ach, czemuż nas dół jeden nie zamknął oboje!
»Nie znałabym co srogie serca niepokoje"!!!
To rzekłszy, w łzach tonące powieki zasłania,
I śpiesznie z tego zmarłych uchodzi mieszkania.
Długo za nią Halina prowadziła okiem:
Nareszte ku mogile szybkim poszła krokiem.
Stóy, niebaczna dziewico! nie waż się iśdź daley;
Jeszcze krok jeden, a już nic cię nie ocali:
Nie słucha — bieży — wkrótce u mogiły stawa;
Ale cóż na niey czyta? o to śmierć Wiesława...!
Wiesława, co dozgonną przysiągłszy jey wiarę,
Inney z serca i ręki uczynił ofiarę!!!
Co się stało z Haliną, łatwo to zrozumie
Każdy, ktokolwiek miłość prawdziwą czuć umie:
Lecz któż zdoła rodziców pojąć żal głęboki,
Gdy w mieyscu drogiey córk', znalezli jey zwłoki?

*S ryn Gustaw Tyszkiewicz.*

---

## Michaś i Maryla, *Sielanka.*

---

*Michaś.*

Czy pięknie! gdzie stałość twoja?
Mówiłaś: »ty dusza moja,

»Nad cię nic nie mam na świecie,
»Tyś mojém życiem! a przecie
Sciskałaś Janka za rączki,
Pomieniałaś z nim obrączki,
Nie wyprześ się tego wcale;
I jeszcze widziałem:

*Maryla.*

Ale
Słuchay co ludzie gadają:
»Ach! te dziewczęta rozumu nie mają,
»Każda bez wyjątku płocha!
»Michaś Maryli nie kocha,
»Szkoda jey! a ona
»Lata za nim jak szalona;
Rzekłam: nie prawda, to mówią ze złości;
Aż tu widziałam wczoray Jegomości,
I inni ludzie widzieli,
Jak siedziałeś przy Anieli,
Jak upadłeś na kolana,
I mówiłeś: »tyś kochana!
»Ty moje życie, tyś zdrowie!"
A kiedy się Maryla dowie,
Co na to powie?
Wszak kochałeś Marylę?
»Jaką? e! ani tyle!
»Ktoś żartuje, ktoś cię zwodzi,
»Nie,... nie, uchoway mię Boże!"
Czy tak! niczże wcale nie pomoże!
Więc niechże się i mnie godzi.
Kochał mię Antek przed laty,
Kocha i teraz; bogaty,
Naylicznieysze u niego trzody

On i piękny, on i młody,
Póydę za niego!

*Michaś.*

Chcesz mię zgubić!
Czy przestajesz już mię lubić?
O to przysięgam na Boga....

*Maryla.*

Szczęśliwa droga!
Nie chcę cię znać w moim domu;
Idź odc mnie, idź no sobie,
Nie wierzę wcale tobie,
I nie wierzę już nikomu!
Niechay który u nóg leży,
Niechay płacze, jęki szerzy,
Niech się zaklina na ludzi i bogi,
Próżno!... lecz gdzież no poszedł Michaś drogi?
O! jakżeż on mię zasmuci,
Jeśli prędko nie powróci!

*Aloizy Popławski.*

---

## O ZARĘCZYNACH U DAWNYCH POLAKÓW (*).

U nas samych w Polscze, przed lat kilkąset, taki był starania się o Damę po dworach szlacheckich obyczay: naprzód od dzieciństwa, ani kawaler damy, ani dama kawalera, nigdy widzieć nie mogła; ten do lat trzydziestu trzech,

(*) Rękopism z pierwszey połowy wieku XVIII, sądząc z pisma; jestto widać karta z xiążki rękopisney jakieyś in 4to, nie ma żadnego na niey tytułu prócz liczby kościelney X, *Teodor Narbutt.*

4ch i 5ciu, obozu pilnował, dama zaś pospolicie do lat 24 i 28, z kądzielą się i wrzecionem pieściła. Toż dopioro somsiad do somsiada, Pan Paweł np. do Pana Gawła (przezwisk albowiem przed tym nie było, ale się tylko imieniem, dodawszy przezwisko majętnostki swojey, np. Paweł z Wierzbowa pisywali) wysłał sześćdziesiątletniego Dziewosłąba, który, przyjachawszy na dziedziniec Pawła, zsiadł z konia i za cugle go trzymając, do okien jego zapukał, toż się dopioro na taki według dawnego ceremoniału zdobył komplement: „Pan Paweł mile Waszmości pozdrawia, a radby wiedział, czy na to WM. pozwoli, o co on się przeze mnie pytać będzie?" odpowiedział Gaweł: *słucham, panie somsiedzie.* „Oto (daley perorę ciągnął Dziewosłąb) Pan Paweł ma swego parobka, już mu się do lat 40 zabiera, a słyszał, że WM. macie dziewkę, już też dorosłą, a zatym, jeżelibyś WM. pozwolił, toby się pobrali." Jeżeli kiedy tak P. Gaweł odpowiedział: *wstąpcie jeno do nas, to się o tym namówiemy z sobą.* Toż dopioro Dziewosłąb, u kółka okiennego uwiązawszy konia, wszedł do izby. A ponieważ według dawnego zwyczaju, zawsze stolik nakryty stał, a na nim chleb i sól na talerzu (*); zaczym pierwsze było powitanie, że Pan Gaweł rzekł. *Panie somsiedzie, zjedźcie chleba z solą, jeno z dobrą wolą.* Kiedy te kończyli ceremonie,

(*) W krajach od Polakow zamieszkałych, jako na Górnym Szląsku, w Opolskim powiecie, i po części na Pomorzu, jeszcze ten zwyczay po domach wieśniakow postrzedz można, a w święta, to i szynka częstokroć soli i chlebowi towarzyszy. *Przypisek wydawcy.*

Gaweł zawołał na żonę: *moja! moja! póydźcie jeno do nas*, a gdy przyszła, po prostu jey interes opowiedział. Gdy zaś żona tak odpowiedziała: *jak się wam, móy Panie, widzi.* Toż dopiero córki swey zawołali i tak do niey uczynili komplement: *Moja dziewko, jużeście się dosyć u nas kądzieli naprzędła, czasby ci też na swóy wyniyść chleb; a to, Panu Bogu dziękuy, iż Pan somsiad nasz Paweł potyka cię swym parobkiem; jakże zezwalasz na to?* Córka upadnieniem do nóg rodzicielskich ich wolą potwierdziła. Dopiorož móy Dziewosłąb, w czapkę pereł nasypawszy i innych kleynotow, w fartuch Damy wysypał, z taką przemową. „*Pan Paweł od swego parobka na ten dar prosi, przyym WM. tym czasem wdzięcznie, aż się o więcey postara.*" Zatym oyciec Damy powiedział Dziewosłąbowi: *powiedzcież, Panie, iż za dwie np. niedziele, będzie wesele. Niech Pan Paweł sprowadzi z sobą skrzypkow, ja też tu każę cielątko, kurkę jedną i drugą zabić, miodu nasycić i spół się cieszyć będziemy.* I tak, jak umówili, nieomylnie się przez dłuższych korowodow stało.

---

### Moje cztery pory roku.

Wkrótce wiosenny poranek
Spiące strumyki ocuci,
A zefir, róży kochanek,
Na skrzydłach motylków wróci;
Lecz mnie w każdey porze roku,
Widok Cesi wiosną darzy.

Fijołeczki mam w jey oku,
Pączki róży na jey twarzy.
Po wiosnie nadeydzie lato,
Pora dla kmiotka szczęśliwa:
Gdyż jego pracy zapłatą
Są tylko obfite żniwa.
Moje żniwa chociaż krótkie,
Nie mało rozkoszy mają,
Gdy Cesi rączki pulchniutkie,
Schwycić całus pozwalają.
Słysząc głos Cesi pieszczony,
Nie posiadam się z uniesień;
Słówka jey są moje plony,
I to to jest moja jesień.
Lecz gdy patrząc w oczki twoje,
Widzę, że ich promyk gaśnie,
Cesiu! ach! to zima właśnie;
A ja się tey zimy boję.

*N. A. K.*

## Anakreontyk do Celiny.

Cesiu! chciey mi wytłumaczyć,
Bo nic wiem, co to ma znaczyć,
Tych skrzydlatych chłopiąt zgraja
Co przy tobie się przyczaja.
Jedni przy twych brewkach wiszą,
Drudzy w puklach się kołyszą:
Inni z twą się buzią pieszczą,
Swawolą nad snieżną szyją;
Są co się i w szlarkach mieszczą;
I po ich się rąbkach kryją.

Jeden, coś niby starszego,
Zuchwalec, poznałem łatwo,
Bo mu z oczu nic dobrego:
Przewodził nad drobną dziatwą.
O toż to on bez ustanku
Przy Cesi trzymając czaty,
Na strzałkach, co ma w kołczanku,
Rozsyła swóy ród skrzydlaty.
Sam nie wiem, co teraz zrobię?
Bo mi ten mały morderca
Jednego wegnał do serca,
Dwóch zaś nasłał w oczy obie.
Tamten mi dokucza zawsze,
Lecz te dwa nieco łaskawsze,
W oczach tylko ciągle stoją
I zwodzą mię Cesią moją.
Nie wierzysz? dla przekonania
Zayrzyy kiedy w oczy moje;
Znaydziesz tam owe nasłania,
Podobnych ci chłopiąt dwoje.

*N. A. K.*

---

## Serce Macierzyńskie (*anegdota.*)

Pewna pani wenecka, patrząc na umiérającego syna swego jedynaka, nayokrutnieyszey oddała się żałości. Obecny kapłan, starając się ją pocieszyć: „Wspomniy, rzecze, na Abrahama, któremu Bóg kazał własną ręką zabić syna swego na ofiarę, a przecięż był posłusznym bez naymnieyszego szemrania."— „Ach, oycze, (odpowié ta pani), nigdyby podobney ofiary nie wymagał Bóg od matki!" (*z franc.*)